

(o)Polski nacjonalizm – brak poszanowania w RP dla współobywateli Niemców

Tomasz Kamusella
University of St Andrews

Wielkie Opole?

W lipcu 2016 roku rząd PiS postanowił jednostronnie i bez konsultacji z zainteresowanymi o poszerzeniu granic miejskich Opola. Nastąpi to kosztem gmin i sołectw z ziemskiego Powiatu Opolskiego, w którym znaczną liczbę ludności stanowią Niemcy. Obecnie w większości tych gmin i sołectw, gdzie Niemcy to co najmniej jedna piąta mieszkańców, cieszą się oni możliwością stosowania nazewnictwa dwujęzycznego (tj. polsko-niemieckiego) oraz użycia niemieczyny jako języka pomocniczego przy załatwianiu spraw w urzędach gminnych. Przyłączenie pewnych gmin i sołectw z Powiatu Opolskiego do Opola spowoduje diametralną – z punktu widzenia statystyki – zmianę w proporcjach ludności. Opole jest największym ośrodkiem miejskim w województwie opolskim, stąd po powiększeniu stolicy województwa proporcja Niemców w ludności miasta nie przekroczy paru procent.

PiS już przed wygranymi wyborami ogłaszał stanowczą walkę o „narodową Polskę”, „narodowy kapitał”, „narodowe media” itp. Nie oznacza to nic innego jak kontynuację programu Romana Dmowskiego oraz peerelowskiego narodowego komunizmu o więcej etnicznie pojmowanej polskości w Polsce. Z jednej strony ma zostać ograniczony wpływ „obcego” (czytaj: niemieckiego) kapitału w Polsce. A z drugiej trzeba umacniać jednorodność etnicznojęzyczną ludności kraju, aby uznane mniejszości nie stanowiły więcej niż jeden procent (a najlepiej niewielki ułamek procenta) mieszkańców całego państwa. Dlatego największa w Polsce mniejszość – Ślązacy (ponad 800 tysięcy osób, wedle spisu z 2011 roku) nie może zostać oficjalnie uznana za istniejącą. Podobnie, w lipcu 2016 rejestrowano 815 dwujęzycznych nazw polsko-kaszubskich, a o aż prawie dwie trzecie mniej polsko-niemieckich (359), chociaż podług ostatniego spisu liczba Niemców (148,000) jest mniejsza od liczby Kaszubów (233,000) tylko o jedną trzecią. Tak więc, wedle czystej statystyki nazw polsko-niemieckich powinno być co najmniej z pięćset. Ta gołym okiem widoczna większa akceptacja dla odmienności kaszubskiej niżli niemieckiej wynika stąd, iż według oficjalnej wykładni Kaszubi to *jednak* Polacy posługujący się dodatkowo (obok polszczyzny) nie-polskim językiem regionalnym, czyli kaszubszczyzną. Teraz, po wejściu w życie rządowego rozporządzenia o poszerzeniu granic Opola w styczniu 2017 roku, liczba nazw polsko-niemieckich ma szansę spaść poniżej trzystu.

Ciekawe czy w zastosowaniu „opolskiego rozwiązania” do leczenia boleśnie przeżywanego przez PiS dylematu „zbyt dużego stopnia obserwowalnej obcości” w Polsce nie przyświecał przypadek Kędzierzyna-Koźła. Miasto to powstało w roku 1975 dzięki wysiłkom partyjnych planistów, którzy – zgodnie z gierkowska propagandą sukcesu – musieli wykonać dyrektywę wzrostu liczby miast z większą niż 50,000 liczbą mieszkańców. Wedle polskiego prawodawstwa takim ośrodkiem miejskim zarządza

prezydent a nie burmistrz, a w statystykach międzynarodowych polskie miasto „prezydenckie” to już nie jakiś tam mało znaczący *town*, ale *city*, czyli prawie jak New York City. W celu utworzenia nowego polskiego *city* administracyjnie połączono ze sobą cztery miasta: Kędzierzyn, Koźle, Kłodnicę i Sławięcice oraz 10 wiosek i osad fabrycznych. Tym sposobem „osiągnięto” liczbę prawie 70,000 mieszkańców w nowym mieście „prezydenckim”. Jednak mimo wybudowania nowych osiedli Kędzierzyn-Koźle do tej pory nie zrosł się w jeden organizm miejski. Nie ma na to widoków w najbliższej przyszłości, bo tymczasem liczba mieszkańców spadła do około 55 tysięcy. Gdyby ta tendencja się utrzymała to za dekadę lub dwie Kędzierzyn-Koźle znów spadnie do „drugiej ligi miast burmistrzowskich” (*towns*).

Dwie najdalsze dzielnice Kędzierzyna Koźła, Koźle-Rogi i Sławięcice dzieli odległość 25 kilometrów. Łąki, mokradła, ciekły wodne, lasy i nieużytki post-industrialne zajmują dwie trzecie powierzchni miasta. Gierkowsy planiści na pewno nie przewidzieli uznania Niemców w Wyrchnym Ślōnsku za mniejszość narodową w roku 1990. Jednak ich decyzje obecnie pozbawiły tę mniejszość możliwości ustanowienia nazewnictwa dwujęzycznego oraz zaprowadzenia w urzędach niemieckiego jako języka pomocniczego w dwóch dawnych miastach (a obecnie dzielnicach Kędzierzyna-Koźła) – Sławięcicach i Kłodnicy oraz w aż 10 dawnych wioskach i osadach fabrycznych – Azotach, Blachowni Śląskiej, Cisowej, Koźlu-Porcie, Koźlu-Rogach, Kuźniczkach, Lenartowicach, Miejscu Kłodnickim, Pogorzelcu i Żabieńcu. Biorąc to za przykład jak statystyka pozwala w Polsce „rozwiązywać problem mniejszości” (czyli pozbawiać je przysługujących im praw), nie zdziwiłbym się, gdyby wkrótce ogłoszono „unię konurbanistyczną” Aglomeracji Opolskiej i Kędzierzyńsko-Kozielskiego Obszaru Funkcjonalnego (<http://aglomeracja-opolska.pl/aktualnosci/aglomeracja-opolska-i-kedzierzynsko-kozielski-obszar-funkcjonalny>). Tym sposobem, od ręki, zlikwidowano by nazewnictwo polsko-niemieckie oraz użycie niemieckiego jako języka pomocniczego we wszystkich gminach mniejszościowych na terenie województwa opolskiego. Wtedy pozostałyby w Polsce jedynie trzy „niemieckie” gminy tego typu znajdujące się w granicach województwa ślōńskiego (dawnego katowickiego) (http://pl.wikipedia.org/wiki/Dwuj%C4%99zyczne_nazewnictwo_geograficzne_w_Polsce#/media/File:Gminy_z_dodatkowymi_nazwami.png). A to już powinno być do zaakceptowania dla PiS jako swoisty rodzaj „rezerwatu” mniejszości niemieckiej. Bo przecież we współczesnej Polsce jest pełen poszanowanie dla demokracji i praw mniejszości.

Trochę historii

Niemcy wyrchnoślōnscy to chyba jedna z najbardziej lojalnych mniejszości w Europie. W 1945 Alianci zdecydowali w Poczdamie o przekazaniu powojennej Polsce większości wschodnich ziem niemieckich na wschód od linii Odry i Nysy (*deutsche Ostgebiete*), które rząd Polski obdarzył mianem „Ziem Odzyskanych”. Zgodnie z ustaleniami poczdamskimi zorganizowano też „transfer ludności” niemieckiej z przyznanych Polsce terenów do powojennych Niemiec zlokalizowanych na zachód od linii Odry i Nysy. Dzisiaj nazwalibyśmy to wydarzenie czystką etniczną. Za to przodków wyrchnoślōńskich Niemców zatrzymano na ojcowiznie siłą w ramach tzw. „weryfikacji narodowej”. Po

prostu, nie starczało etnicznych Polaków „repatriowanych” (czytaj: wysiedlonych w ramach innej czystki etnicznej) ze wschodnich terenów międzywojennej Polski (tymczasem zagarniętych przez ZSRS), aby na zachodzie racjonalnie zasiedlić miasta i wioski opróżnione z niemieckich mieszkańców. Ponadto obecność prawie milionowej grupy „autochtonów” (czyli nieświadomych swej polskości Polaków etnicznych) pomagała uzasadnić mit o ponad sześćsetletnim trwaniu polskości na „Ziemiach Piastowskich”. Ów mit pozwolił też Aliantom zgodzić się z „czystszy sumieniem” na sowiecką propozycję przekazania Polsce „Ziem Odzyskanych”.

Następnie „zweryfikowani autochtoni” zostali poddani „repolonizacji”, czyli przymusowej polonizacji. W ramach akcji „degermanizacyjnych” usunięto z przestrzeni publicznej i prywatnych domostw książki, druki i napisy niemieckie, w tym skuto lub usunięto takowe napisy nawet z grobów. Zakazano też mówienia po niemiecku, a opornych skazywano na grzywny, zabór mienia, zwolnienia z pracy oraz uniemożliwienie dzieciom uczęszczanie do szkoły. Ponadto aż do roku 1949 dla „kryminalistów językowych” czekał specjalny obóz pracy przymusowej w Gliwicach. W okresie 1945- 1947 spolonizowano (czytaj: zmieniono) autochtonom nazwiska w dokumentach osobistych, w tym na aktach urodzenia, chrztu i małżeństwa. A do roku 1963 spolonizowano wszystkie „niewystarczająco słowiańskobrzmiące” nazwiska autochtonów.

Za PRLu „niewątpliwa” mniejszość niemiecka istniała tylko w Dolnym Śląsku. Byli to najczęściej (wyznania luterańskiego) specjaliści z zakresu agronomii, technologii i górnictwa, których zatrzymano w powojennej Polsce dla uruchomienia i odbudowy przemysłu bądź wielkich gospodarstw rolnych na tym terenie. Posiadali oni własne szkoły niemieckojęzyczne, organizacje kulturalne, a nawet gazety wydawane po niemiecku. Do początku lat 70tych XX wieku praktycznie wszyscy wyjechali głównie do RFN. Władzom nietrudno było zauważyć, że pod koniec istnienia tej koncesjonowanej mniejszości niemieckiej, większość nakładu periodyków wydawanych dla niej rozchodziła się w ramach subskrypcji w województwie opolskim, czyli pośród zweryfikowanych „autochtonów-Polaków”.

Po nawiązaniu pełnych stosunków dyplomatycznych przez Polskę i RFN w roku 1970, w ramach limitowanych wyjazdów pozwolono wyjeżdżać najbardziej zdeterminowanym i niewygodnym autochtonom i ich rodzinom do RFN. Po przekroczeniu granicy automatycznie stawali się oni – w świetle prawa niemieckiego – *Aussiedlerami*, czyli Niemcami etnicznym wysiedlonymi z dawnych niemieckich obszarów wschodnich. Z kolei tym autochtonom, którym udzielono paszportu na wizytę rodzinną w RFN nie zezwalano na zabieranie w takie wyjazdy całej rodziny. Jeśli ktoś na takiej wizycie zdecydował się nie wracać do PRL, pozostałym w Polsce członkom najbliższej rodziny nie powalano dołączyć do niego w RFN przez co najmniej pięć lat. Często prowadziło to do rozpadu rodzin. Kiedy wydarzenia sierpniowe zachwiały stabilnością instytucjonalno-ideologiczną PRL wielu autochtonów (a także etnicznych Polaków) wyjechało do RFN przed wprowadzeniem stanu wojennego w grudniu 1981 roku.

Po okresowym zamrożeniu wyjazdów dla autochtonów, ponownie na nie zezwolono od połowy lat 80tych XX stulecia wraz z nastaniem gorbaczowskiej pierestrojki. Zezwalano, albo przymuszano do wyjazdu szczególnie tych autochtonów, którzy ważyli

się zakładać – nielegalne, czyli w gruncie rzeczy dysydenckie – stowarzyszenia i organizacje niemieckie. Lecz przecież już od lat 70tych, dzięki „badaniom” solidnie przeprowadzonym przez opolski Instytut Śląski – było powszechnie wiadomo, że w Polsce nie ma żadnej mniejszości niemieckiej, a co najwyżej paręset rozproszonych po całym kraju osób pochodzenia niemieckiego. Dopiero u samego schyłku komunizmu przestano wymuszać wyjazdy na założycielach *Deutsche Freundschaftskreisen* (DFK, Niemieckich Kół Przyjaźni), które stały się podstawą organizacyjną oficjalnie uznanego w roku 1990 Towarzystwo Społeczno-Kulturalnego Niemców na Śląsku Opolskim (TSKN, *Sozial-Kulturelle Gesellschaft der Deutschen im Oppelner Schlesien*).

Po prawie półwieczu prześladowań za PRLu w końcu zezwolono „autochtonom-Polakom” na bycie tym kim sami chcieli, czyli bezprzymiotnikowymi Niemcami. Co więcej do posiadanego obywatelstwa polskiego zezwolono im na pozyskanie (odzyskanie) obywatelstwa niemieckiego bez konieczności zrzeczenia się tego pierwszego lub wyjazdu na stałe do Niemiec (co wcześniej było konieczne). Obecnie około ćwierć miliona osób z takim podwójnym polskim i niemieckim obywatelstwem zamieszkuje w Polsce, głównie w Wyrchnym Śląsku. Owe rozwiązanie było nielegalne zarówno w świetle ówczesnego prawa niemieckiego jak i polskiego. Przeważało pragmatyczne podejście do zastanego problemu. W latach 1988-92 prawie 200 tysięcy „autochtonów-Polaków” wyjechało do RFN. Gdyby cała reszta poszła w ich ślady oznaczałoby to bezprecedensowe załamanie demograficzne województwa opolskiego. W tym samym czasie Berlin musiał już sobie radzić z setkami tysięcy *Aussiedlerów*-Niemców etnicznych wyjeżdżających do Niemiec z rozpadającego się właśnie ZSRS, a następnie państw postsowieckich. Tak więc przyjazd stek tysięcy „autochtonów-Polaków” z Wyrchnego Śląska jeszcze bardziej by obciążał właśnie jednoczące się Niemcy.

Pomimo okresowych czystek etnicznych pomieszanych z okresami przymusowej asymilacji, Niemcy wyrchnoślōncy postanowili zapomnieć o trudnej przyszłości. W imię pojednania polsko-niemieckiego – symbolizowanego przez padnięcie sobie w ramiona Tadeusza Mazowieckiego i Helmuta Kohla w pamiętnym roku 1989 – postanowili wziąć pełny udział w budowie demokracji oraz odbudowie gospodarki w postkomunistycznej Polsce. Marki zapracowane na sezonowych wyjazdach zarobkowych do RFN pilnie wydawali na upiększanie własnych domostw i wsi, tym samym nakręcając koniunkturę ekonomiczną zwłaszcza w województwie opolskim. Ogromna większość organizacji mniejszościowych odcinała się od skrajnej prawicy z RFN, która w Wyrchnym Śląsku wzywała do nieuznania ratyfikacji Polsko-niemieckiego traktatu granicznego. Wszedł on w życie w roku 1992 i na jego podstawie zjednoczone Niemcy ostatecznie i w pełni uznały w świetle prawa międzynarodowego powojenną granicę niemiecko-polską.

W Polsce panuje wciąż jednak peerelowska w swym charakterze wykładnia, że sprawę granicy z Niemcami załatwiono już w traktacie polsko-zachodnoniemieckim z roku 1970. Z tym, że zapomina się, iż w instrumencie ratyfikacyjnym z roku 1972 Bundestag dodał zastrzeżenie, że w zakresie spraw granicznych traktat ten *nie* będzie obowiązywał zjednoczonych Niemiec. Stąd nastąpiła konieczność podpisania nowego traktatu granicznego w roku 1990. Jednak liderzy TSKN bardzo wzięli sobie do serca konieczność lojalnego wspierania polskiej wykładni polskiej polityki historycznej nawet wbrew faktom i historii samych Niemiec. Na przykład, w roku 2004 w Opolu ukazała się publikacja

przedstawiająca obok siebie polską i zachodnioniemiecką interpretację statusu powojennej granicy niemiecko-polskiej. Na fali „zdrowonarodowego” oburzenia związanym z tym faktem ówczesny lider TSKN i zarówno Wicemarszałek Opolski Ryszard Galla wezwał do spalenia całości nakładu książki (<http://wiadomosci.gazeta.pl/wiadomosci/1,53600,2064147.html>). Nie można być bardziej wiernym drugiemu narodowi (w etnicznym tego słowa rozumieniu) nad przyjęcie jego mitów za swoje, nawet jeśli mity te godzą w historię własnego narodu.

Do pierwszej dekady XXI wieku mniejszość niemiecka w Wyrchnym Ślōnsku otrzymywała dziesiątki milionów marek na „rozwój” w dotacjach z Niemiec. Pieniądze te były wydatkowane na zakładanie wodociągów i instalacji ściekowych, na upiększanie wsi i miasteczek mniejszościowych, na wyposażenie szpitali i szkół. Przez ćwierć wieku nie stworzono ani jednej niemieckojęzycznej szkoły. Obecnie działają zaledwie trzy asymetrycznie polsko-niemieckie szkoły dwujęzyczne, to jest takie, w których większość przedmiotów wykłada się jednak po polsku. Zadowolono się tym, że w rocznikach statystycznych publikowanych przez GUS oficjalnie ogłoszono jakieś 600 szkół mniejszościowymi szkołami niemieckimi, czyli takimi, w których język niemiecki jest nauczany jako mniejszościowy. Oznacza to, że naucza się go jako przedmiot nie mniej niż trzy godziny tygodniowo. Dlatego nie udało się odtworzyć międzygeneracyjnego przekazu języka niemieckiego ani w rodzinach, a tym bardziej w społecznościach lokalnych. To wyjaśnia fakt, iż obecnie językiem codziennym Niemców wyrchnoślōnskich jest ślōnszczyzna, a coraz częściej polszczyzna. Gdyby ktoś zaproponował, że dla tak dużej mniejszości jak Niemcy w województwie opolskim należałoby zorganizować pełny system edukacji niemieckojęzycznej od przedszkoli, przez podstawówki, gimnazja i licea po niemieckojęzyczny uniwersytet w Opolu, miano by go za niezrównoważonego psychicznie.

Ale dlaczego?

Porównajmy z Litwą

Mniejszość polska w Litwie jest skupiona w tym kraju wokół stolicy Wilna, niczym w Polsce mniejszość niemiecka wokół Opolą. Obie mniejszości liczą sobie po mniej więcej tyle samo członków, czyli – w zależności od szacunków – od 200 do 300 tysięcy osób. W przeddzień odtworzenia niepodległej Litwy, Polacy litewscy ogłosili powstanie autonomicznego Polskiego Kraju Narodowo-Terytorialnego (1990-1991). Oczywiście Litwini odebrali ten akt jako prorosyjski w swym charakterze gest nielojalności wobec Litwy. Jednak wydarzenie to nie spowodowało znaczniejszych retorsji, za wyjątkiem – wedle polskich działaczy mniejszościowych – przyłączenia w roku 1996 podwileńskich miejscowości do litewskiej stolicy, co miało zmniejszyć proporcjonalny udział Polaków etnicznych w pomniejszonym Okręgu Wileńskim wokół miasta. Utrzymano jednak mniejszościowy system edukacji polskojęzycznej odziedziczony po ZSRS. Obecnie ponad 100 szkół od podstawowych po średnie i techniczne istnieje w Okręgu Wileńskim i Wilnie. Ponadto działa kilkadziesiąt przedszkoli polskojęzycznych. A w roku 2007 uruchomiono polskojęzyczny Uniwersytet Wileński, które oficjalnie jest filią Uniwersytetu w Białymstoku. Warszawa nigdy wcześniej ani obecnie nie dotowała tej polskiej

mniejszości tak szczerze jak onegdaj Berlin mniejszość niemiecką w województwie opolskim. Dlatego zamiast rozwijać infrastrukturę, która służyłaby wszystkim mieszkańcom regionu niezależnie od pochodzenia etnicznego, każdą dotacyjną złotówkę przeznaczano i wciąż się przeznacza na szerzenie polskiej kultury i języka (w tym i polskojęzycznego katolicyzmu).

Ciągłym problemem pozostaje nazewnictwo dwujęzyczne, ortograficznie polski zapis imion i nazwisk w dokumentach litewskich, oraz używanie w urzędach lokalnych polszczyzny jako języka pomocniczego. Chociaż, domyślam się, gdyby opolskich Niemców postawić przed takim dylematem, to zapewne chętnie zrezygnowaliby z nazewnictwa dwujęzycznego jak i pomocniczej funkcji języka niemieckiego w urzędach gminnych na rzecz pełnego systemu oświaty niemieckojęzycznej z tak samo niemieckojęzycznym Universität Oppeln, który na przykład, mógłby być zamiejscowym oddziałem Humboldt-Universität z Berlina. Te prawa mniejszościowe, którymi cieszą się Polacy litewscy są prawami *praktycznymi* (rzeczywistymi), to znaczy przekładają się one na *praktyczne* podtrzymywanie oraz przekazywanie z jednego pokolenia na drugie kultury mniejszościowej rozumianej jako wspólnotowe używanie języka mniejszościowego w społecznościach lokalnych i w rodzinie. W Wyrchnym Ślōnsku, ani nigdzie w Polsce nie ma ani jednej miejscowości czy dzielnicy gdzie niemczyzna byłaby językiem komunikacji. Podobnie jest w rodzinach, jako że przymusowa polonizacja w latach 1945-1990 zlikwidowała międzygeneracyjny przekaz tego języka. A prawa mniejszościowe, którymi cieszą się wyrchnoślōnscy Niemcy, to prawa *symboliczne*, które nie przekładają się ani na odtworzenie, a tym bardziej na podtrzymywanie i przekazywanie z pokolenia na pokolenie użycia języka niemieckiego. To w sumie jedynie usunięcie przymiotnika „przymusowy” z procesu asymilacyjnego (czyli polonizacji), któremu są nadal poddawani, z tą alternatywą, że jeśli im to nie odpowiada, to bez żadnych retorsji administracyjno-prawnych (jak to bywało za PRLu) mogą „wrócić do siebie”, to jest do Niemiec.

We wrześniu 2011 roku wybuchło wiele strajków w polskich szkołach w Okręgu Wileńskim. Ich powodem było wprowadzenie w życie ustawy, która zaprowadziła w szkołach mniejszościowych w Litwie nauczanie w języku litewskim historii i geografii Litwy, podstaw wychowania patriotycznego, oraz przedmiotu wiedzy o świecie (lecz tylko w części dotyczącej samej Litwy). Można powiedzieć minimum przedmiotowe, które po ukończeniu szkoły pozwoli Polakom litewskim sprawnie funkcjonować w społeczeństwie litewskim. Oczywiście, na tak ograniczony udział języka polskiego jako wykładowego nie mają nawet co liczyć te paręset uczniów uczęszczających do trzech asymetrycznie dwujęzycznych szkół mniejszości niemieckich, w których *większość* przedmiotów jest wykładana właśnie tylko po polsku.

W odpowiedzi na te strajki w Okręgu Wileńskim, polski premier, Donald Tusk przybył do Wilna z niezapowiedzianą „wizytą porządkującą”, co nie do pomyślenia gdzie indziej w Unii Europejskiej. Wydarzenie to zapewne utwierdziło wielu Litwinów w przekonaniu, że Polska nie zamierza traktować ich kraju jako partnera, a Warszawa nadal będzie rozmawiać z Wilnem z pozycji siły, starając się narzucać (a nie negocjować) preferowane przez Polskę rozwiązania. Wystarczy jedynie pomyśleć, co by się działo w Polsce gdyby jacyś uczniowie z rodzin niemieckich podjęli strajk domagając się nauczania w języku

niemieckim. Od razu byliby oskarżeni o „naruszenie polskiej racji stanu” i „zdradę ojczyzny”. A gdyby na dodatek z niezapowiedzianą wizytą w ich sprawie przybył kanclerz Niemiec do Warszawy, odebrano by to jako zapowiedź „niesprowokowanego i brutalnego” ataku tego kraju na Polskę.

Lecz rzecz oczywista, to tylko gdybanie. W Polsce panują zupełnie odmienne standardy w traktowaniu Niemców wyrchnoślōnskich. Cichcem przyzwala na nie i Berlin, aby mimo wszystko w imię wartości europejskich podtrzymywać polsko-niemiecki proces pojednania i partnerstwa. A ten coraz bardziej zagrożony w Polsce przez pogłębiający się antyniemiecki, antyeuropejski, antyrosyjski i w ogóle ksenofobiczny w swym charakterze skręt polityki w stronę skrajnej prawicy. Na przykład, gdy w roku 2012 w Koźlu-Rogach otwierano szkołę stowarzyszeniową mniejszości niemieckiej z li tylko *dotatkowym* nauczaniem w języku niemieckim, nacjonałiści polscy od września poczęli torpedować tą inicjatywę. Ich naczelnym argumentem było to, że etnicznie polskie dzieci z tej dzielnicy Kędzierzyna-Koźla musiałyby dojeżdżać aż dwa kilometry do najbliższej w pełni polskojęzycznej szkoły. Wniosek był taki, iż w Polsce wszystkie etnicznie polskie dzieci w każdej miejscowości i dzielnicy, w której znajduje się jakaś szkoła (niezależnie czy państwowa, stowarzyszeniowa czy prywatna) powinny mieć zapewniony w niej dostęp do pełnego toku nauczania w języku polskim.

Nawet nie do pomyślenia, żeby w Litwie ktoś się ważył wystąpić z takim pomysłem, żeby we wszystkich tamtejszych szkołach polskojęzycznych zapewnić pełny tok nauczania w języku litewskim dla etnicznie litewskich dzieci z okolicy.

Dlaczego coraz silniej nęka się wyrchnoślōnskich Niemców?

Pomimo półwiecza prześladowań w PRLu i ćwierćwiecza „miękkiej asymilacji” w wolnej Polsce wyrchnoślōnski Niemcy wykazywali się dotychczas niezmierną lojalnością wobec państwa polskiego. Nawet jeżeli godzi to w ich żywotne interesy grupowe. Stali murem za „polską racją stanu”, nawet w takich wypadkach, kiedy to co zakrywano tym terminem stanowiło nacjonalistyczne i w gruncie rzeczy antyniemieckie interpretacje najnowszej historii i polityki. Rezygnowali z prawa do własnej mniejszościowej kultury i oświaty niemieckojęzycznej na rzecz rozwoju infrastruktury i lecznictwa dla *wszystkich* mieszkańców województwa opolskiego. Na takie ogólnorozwojowe cele regionalne przeznaczali gros dotacji z Niemiec, a nie na odtworzenie, rozwój i podtrzymywanie użycia języka niemieckiego w miejscowościach mniejszościowych.

Zda się, że w Warszawie nikt nie docenia tej niezmiernie (lubo nadmiernie) cierpliwej, wyrozumiałej i po europejsku otwartej postawy wyrchnoślōnskich Niemców. Za to teraz, pod rządami PiS-u wymaga się jeszcze więcej – aby mniejszość niemiecka poczęła rezygnować nawet z symbolicznych praw do niemieckości, pod pozorem zapewnienia lepszego rozwoju dla stolicy regionu – Opola. Niemców wyrchnoślōnskich przypiera się do muru.

Dlaczego?

Może po to, żeby udowodnić zgodnie z peerelowskimi „ustaleniami” naukowców z opolskiego Instytutu Śląskiego, że w powojennej Polsce nie pozostali żaden Niemcy w Wyrchnym Ślōnsku. Że uznanie istnienia mniejszości niemieckiej w roku 1990 było błędem, a dzisiejsza mniejszość niemiecka mówiąca w swej ogromnej większości po ślōnsku i polsku, to „żadni prawdziwi Niemcy”, tylko pozostałości po „Volkswagendeutsche” (czytaj: podający się za Niemców tylko po to aby odnieść korzyści materialne), jak często (o)polka prasa poniżająco określała Niemców wyrchnoślōnskich w pierwszej połowie lat 90tych XX wieku. O ile się nie odważą i nie zareagują, to tym samym potwierdzą tą „słuszną diagnozę”. Sami siebie „znikną” i w następnym pokoleniu spokojnie się „rozpląną” w wielokulturowym (czytaj: „odwiecznie polskim”) morzu Wyrchnego Ślōnska. Polonizacja tego regionu zakończy się pełnym sukcesem.

Lecz z drugiej strony takie przyciskanie do muru może spowodować, iż w końcu nawet wyrchnoślōnski Niemcy stracą cierpliwość, zaczną głośno upominać się o swoje prawa. A może nawet będą szukać pomocy w Berlinie? A właśnie już podjęli. Trochę późno. Przez zaaprobowaniem w lipcu 2016 roku decyzji o poszerzeniu granic administracyjnych Opola, wbrew zasadom demokracji konsensualnej, nikt z rządu ani z władz regionalnych czy miejskoopolskich nie konsultował proponowanej zmiany Niemcami wyrchnoślōnskimi. I tak samo po przyjęciu rozporządzenia nikt z nimi do początku grudnia 2016 nie chciał rozmawiać na temat poszerzenia z granic administracyjnych Opola. Posłowie (o)polscy i ministrowie warszawscy na wszelkie sposoby unikają spotkania z przedstawicielami wyrchnoślōnskimi Niemcami. W sprzeczności wobec takiego podmiotowego traktowania, ci ostatni zaczęli demonstrować przed Urzędem Miejskim w Opolu, blokować drogi, nagłaśniać sprawę w prasie polskiej i zagranicznej, a 6 grudnia 2016 roku podjęli desperacką decyzję o strajku głodowym w okresie Świąt Bożego Narodzenia. Bo już przecież za miesiąc z okładem, czyli 19 stycznia 2017 roku ma wejść w życie jednostronne rozszerzenie granic administracyjnych Opola

I co teraz?

Jeżeli protesty okażą się skuteczne i zmobilizują Niemców wyrchnoślōnskich jako grupę społeczną, a do tego doprowadzą do jakiegokolwiek oficjalnej reakcji ze strony Berlina, to wtedy – wedle PiSowskiego rozumienia polityki – mniejszość niemiecka koniec końców dowiedzie swojej „dotychczas głęboko ukrywanej nielojalności” wobec Polski. Bo przecież w nacjonalistycznej wykładni datującej się z początku XX stulecia „jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem”. Lecz gdyby możliwość takiej konfrontacji przeraziła wyrchnoślōnskich Niemców i zdecydowaliby się sprawę „odpuścić”, to wtedy ci ponoć „nieprawdziwi Niemcy” zostaną opatrzeni etykietą „głęboko zakamuflowanej opcji niemieckiej”, obok Ślōnzaków, których prezes PiS już wcześniej obdarzył mianem „ukrytej opcji niemieckiej”. Z przyjmowaną przez nacjonalistów etnicznych samosprawdzalną „logiką” postrzegania rzeczywistości społeczno-politycznej nie można wygrać. Oni zawsze muszą mieć rację. Po roku 1989 narodowo-komunistyczne zaklinanie rzeczywistości zostało zastąpione przez jego czysto narodowa wersję.

Obym się mylił w tej diagnozie.

